

### Noworoczne powinszowania.

*Dla lekarza.*

— Życzę panu doktorowi „epidemicznego” Nowego Roku!

*Dla kupca.*

— Życzę panu kupcowi „ruchliwego” Nowego Roku!

*Dla poety.*

— Życzę ci, synu Muzy, „kwiecistego” Nowego Roku!

*Dla młodzieży dorastającej.*

— Życzę kawalerowi (panience) „najkrótszego” Nowego Roku!

### Nowy rok w małżeństwie.

— Przy Nowym Roku, przyjm żonczko ten skromny upominek.

— Dziękuję ci mężulku. Ach! broszka, ale czemu taka mała!

— Dziwi cię to?... Wiesz przecie że jestem homeopatą...

## Żart kapitana.

Za W. księcia Konstantego sływał w polskim wojsku kapitan X. w pułku ułanów, z żartów, z różnych dowcipnych konceptów, z psot i figielków, które płatał swoim znajomym. Pułk ten przechodził w czasie lata przez okolice N., gdzie przez dni kilka dla wypoczynku miał się zatrzymać. Właściciel miejscowy powiadomiony został, że i on załogę otrzyma, a będąc nader wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano na kwaterę kapitana i kilku oficerów.

Wreszcie, upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki, zabłysnęły lance a pocziwy starzec na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał, ucałował, wprowadził do pokoju i zaraz na wstępie doskonałym węgryzmem i sutą kolacją uczęstował.

— Szanowni i łaskawi panowie — zawołał gospodarz, podniósłszy kielich — witam was wszystkich z całego serca. Wiwat rycerze nasi! — i spełnił kielich aż do dna.

Oficerowie podziękowali w imieniu wszystkich i wnieśli zdrowie gospodarza.

— A teraz — mówił gospodarz z podniecenym na licu rumieńcem — w szczególności komendanta, zacnego kapitana. Niech nam żyje i wesołe płaćta figle!

Kapitan podziękował tak samo.

— A szanowny łaskawco — zawołał znowu gospodarz — pragnąłem od dawna znajomości twojej, rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, ażeby cię mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc, co chata ma moja, bo czem bogata, tem rad a.

— Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy dobrodziej, sercem polskim i duszą polską. — odrzekł kapitan — to i najszcześliwsi jesteśmy z takiej gościny. Uściskali się wzajemnie.

— Ach łaskawco — zaczął dziedzic — jeszcze mam prośbę jedną do ciebie.

— To i jakaż może być prośba? najprzód już przyrzekam wszystko.

— Ot, żebyś mi jakiego wesołego figla wyplatał.

Roześmieli się wszyscy.

— Dowiej twój słynie, a ja namiętnie lubię takie wesołe koncepty. Mój łaskawco jedyny, proszę o jaki dobry figiel.

— Dobrze, kochany dobrodziej — odrzekł kapitan — uczynię, co potrafię, ale nie zawsze usposobienie bywa po temu.

— Usposobienie? — przerwał mu dziedzic — czy masz, kochany kapitanie, jakie kłopoty?

— Każda Teresa ma swoje interesa — dobrodziej kochany. — To koń zakuleje, to przyjaciel zawiedzie, wierzyciel naciska, w karty się przegra...

— E drobnostka to wszystko! — zawołał dziedzic.

Uściskali się znowu, ucałowali i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko zdoła, to spłata jakiego figla, z którego gościnný gospodarz pośmiej się trochę.

Wieczorem długo siedzieli ze sobą przy herbacie. — po wysmienitej kolacji prawili i gawędzili. Kapitan dowcipkował, koledzy różne jego opowiadali psoty, aż dziedzic zanosił się od śmiechu i łzy mu z oczu spływały. Wreszcie, udali się na spoczynek. Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi. Załedwo pół godziny upłynęło, gdy wbiega do pokoju dziedzica Tomek woznica, blady, przerażony i zakamując ręce ze łzami wybełkotał:

— Jasnie panie!... o Jezu! Jezusieńku! toć nam konie ukradli!

— Co ty gadasz? — wrzasnął dziedzic — śnisz, czy co?

— A daćby Niebieski — zawołał Tomek — ale dyć je ukradli!

— Do stu djabłów! a gdzieżeś ty był?

— Oj jasnie panie — odrzecz Tomek. — ułani wej za bramą różne tam wyprawiali figle i pogapiłem się z drugimi...

— Potrzeba szukać, gonić! — zawołał nagle dziedzic. — Jutro jest jarmark w X.

— O juści, juści, jasnie panie. Peniusieńko tam z nimi popędzili.

— Chodź.

Dziedzic pobiegł do pokoju kapitana, który bierał się do spoczynku.

— Kapitanie, łaskawco jedyny, kochany, ratuj!

— Cóż się stało, dobrodziej? Cóż się stało?

— Konie mi ukradli!

— A to historia. — wyrzekł z oburzeniem kapitan — przecież są moi ułani.

— Byli za bramą, tam się bawili, a tymczasem złodzieje od tyłu konie uprowadzili.

— Nieszczęście! serdecznie jestem zmartwiony, kochany dobrodziej...

— Przyszedłem z prośbą do ciebie, kapitanie, ażebyś mi pozwolił koni swo-

ich i ze dwóch ułanów do pogoni, byśmy złodziei może dopędzić potrafili. W miasteczku jest jarmark.

— Z całej duszy, kochany łaskawco. Masz moje własne konie. Ale wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to się sprzeciwia regulaminowi.

— No, no, to mniejsza. Daj mi tylko dwa konie, wsiądę na jednego, a na drugiego Tomek.

— Jakto, dobrodziej, sam chcesz pogonić?

— Nie inaczej, najlepiej to każdy sam własnego dopilnuje interesu.

— Wielka prawda, ale zmęczysz się bardzo.

— To i co? pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.

— Ale pośpiech potrzebny. Hej! Antoni! — zawołał na służącego kapitan — niechno tam Pazdralski natychmiast okulbacz moje dwa wierzchowce i przyprowadzi... Dobrodziej, tylko mi ich nie bardzo znachaj.

— Bądź spokojny kapitanie! a dziękuję ci z całego serca!

Wybiegł, krzyknął na Tomka, Pazdralski konie przyprowadził, dosiedli i pogonili ku miasteczku. Noc bardzo ciemna, do miasteczka dobre dwie mile, pędzili co tchu starczyło i dziedzic zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć.

Tymczasem dzień poczęło, zanim do miasteczka dojechali. Pędzili bez wytchnienia, w tem odezwał się Tomek:

— Dobrodziej!

— A co tam?

— Jasnie Panie, iscie jakbym na naszej jechał kobyłę.

— Co ty pleciesz? — obejrzał się dziedzic na niego. — A do stu djabłów — zawołał nagle i zatrzymał konia — toćże ty niby na białonóżce siedzisz. — Dziedzic zsiadł i Tomek zeskoczył, konie były spienione i mocno piersiami robiły.

— Chryste Jezu! Jasnie Panie — zawołał Tomek, składając dłonie — toćże to widzi Bóg, nasze właściwe konie, co niby je ukradli!..

Dziedzic zadumał się, pokiwał głową, przyjrzał się koniom, poklepał je, znowu głową pokręcił, a potem głośnym wybuchnął śmiechem. Tomek zdziwiony spojrział.

— O kapitanie, figlarzu! Czego chciałem to i mam — dziedzic pośmiał się znowu — bodajcie Bóg miał w swojej opiece. Dalejże Tomku, napowrót, niech jednak konie wysapią się trochę.

Dzień był jasny, gdy w dworze stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan, za nim oficerowie, a wreszcie żołnierze.

— Dobrodziej — woła kapitan — wybacz, daruj!

— Oj, oj, figlarzu — pogroził mu dziedzic, zsiadając i dobrodusznym wybuchnął śmiechem.

— Dobrodziej, a konie zziajane — głąskaj je kapitan.

— Bodajże cię Bóg kochał — zawołał tenże — żeby mnie w tak ciemną noc wysłać na rozstajne drogi, by na własnej kobyłę gonić złodziei.